



Za progiem starego dworu

Część pierwsza

Niechciana podróż

Ariana Bogajczyk



Publikatornia

Self-publishing platform



Za progiem starego dworu

Część pierwsza

Niechciana podróż

Ariana Bogajczyk

Ariana Bogajczyk

Za progiem starego dworu

Część pierwsza

Niechciana podróż

© Copyright by **AMSA**

Wszelkie prawa zastrzeżone.

ISBN: 978-83-942908-2-5

e-mail: amsa@onet.eu

Projekt okładki - Sandra Szafrńska

konwersja do formatu mobi, epub, pdf: studio@rasterstudio.pl

Spis treści

Rozdział I. Najlepiej, gdy nic się nie dzieje	5
Rozdział II. Opuszczona posiadłość	9
Rozdział III. Nowy sąsiad	11
Rozdział IV. Sekrety pana Gabriela	14
Rozdział V. Stara fotografia	20
Rozdział VI. Dochodzenie rozpoczęte	23
Rozdział VII. Straszny dwór	27
Rozdział VIII. Zaginiona książka	32
Rozdział IX. Siedziba	36
Rozdział X. Wszystko się gmatwa	40
Rozdział XI. Niezwykła kompania	46
Rozdział XII. Okropne przebudzenie	49
Rozdział XIII. Gvatoturo	52
Rozdział XIV. A jednak czas na przygodę	55
Rozdział XV. Leśne widma	58
Rozdział XVI. Nad strumieniem	60
Rozdział XVII. Przeprawa	61
Rozdział XVIII. Przez drogi i bezdroża	64
Rozdział XIX. Dwa pałace	67
Rozdział XX. Burza i co z niej wynikło	71
Rozdział XXI. Cienie na skałach	80
Rozdział XXII. Podróże kształcą	83
Rozdział XXIII. Kraina z innej bajki	86
Rozdział XXIV. Miejsce strzeżone przez smoki	91
Rozdział XXV. Mgliste przecucie	95
Rozdział XXVI. Gomitwa	100
Rozdział XXVII. Przez ogień	102
Rozdział XXVIII. Pierwsza decyzja	104
Rozdział XXIX. Bajka Gabriela	108
Rozdział XXX. Jezioro	115
Rozdział XXXI. Lekarstwa na rozterki duszy	120
Rozdział XXXII. Trochę historii	127
Rozdział XXXIII. Kirko	132
Rozdział XXXIV. Bohaterowie z baśni	137
Rozdział XXXV. Powiązania	143
Rozdział XXXVI. I znowu tajemnica	153
Rozdział XXXVII. Osnowa Eroma	157
Rozdział XXXV. Czas wyboru	162
Rozdział XXXVI. Powrót do domu	165

Rozdział I.

Najlepiej, gdy nic się nie dzieje

Aleksander siedział w kuchni. Przygnębiony, a może tylko znudzony spoglądał przez okno w kierunku szutrowej drogi. Okupował krzesło od południa. W trakcie obiadu postawił talerz na parapecie. Teraz zbliżał się wieczór i zgłodniał. Nie ruszył się z miejsca, bo żołądek punktualnie przypomniał, że niedługo pora kolacji. Mógł trochę poczekać na zaspokojenie apetytu. Nic innego zresztą nie robił. Wciąż cierpliwie czekał.

– Czy on w ogóle dzisiaj wróci? – Pytanie, niby gong zegara, odliczało kolejne godziny ślęczenia.

Wysokie, gęste krzewy, rosnące wzdłuż płotu, ograniczały pole obserwacji do niewielkiego odcinka widocznego przez pręty szerokiej bramy. Za ogrodzeniem trzysobowe drużyny, nie licząc bramkarza, rozgrywały kolejny tego dnia mecz. Okazja do ulicznego turnieju była przednia – koledzy świętowali koniec roku szkolnego. Aleksander bez większego zaciekawienia patrzył na biegających za piłką, bardziej zainteresowany, kto pojawi się przy furtce po drugiej stronie drogi. Od czasu do czasu mruczał cicho:

– Ciekawe, kiedy przyjdzie? Może trzeba było poczekać z tym śledzeniem do jutra.

Mama, zajrzawszy raz i drugi, nie przejęła się smętnym obliczem syna. Z charakteru flegmatyk, często popadał w melancholię, a jej przyczyna tkwiła poza określoną sferą, lecz korzeniami sięgała codzienności. W rzeczy samej zawsze była obecna.

Zdarzały się poranki, kiedy zaraz po przebudzeniu, informował leżącego na łóżku kota:

– Będzie nudno.

Wbrew pozorom nie wyrażał rozczarowania, wręcz przeciwnie. W ten sposób z ulgą stwierdzał brak planów i pewność, że nic nie wywróci ustalonego porządku dnia. Taki stan, w jego przekonaniu, był najbardziej pożądany, co można uznać za dość niezwykle u nastolatka. Miesiąc temu obchodził trzynaste urodziny i, w przeciwieństwie do rówieśników, niczego interesującego w najbliższym dziesięcioleciu nie oczekiwał. Albo lepiej powiedzieć: nie chciał oczekiwać. Aleksander nikomu nie zdradził swoich obaw dotyczących przyszłości. Jawiła mu się jako zagrożenie, nieznanne i nieobliczalne. Wszelkie nieprzewidziane zdarzenia, obojętnie dobre czy złe, bardzo przeżywał. Leżąc w łóżku, medytował przed zaśnięciem, jak uniknąć niespodzianek następnym razem. Uświadamiał sobie, że jutro jest wielką niewiadomą. Rok, czy dekada zdały się zbyt odległe i nawet nie próbował ich ogarnąć.

Nie pamiętał, kiedy zaczął snuć te rozważania, a wzięły początek pewnego wieczoru, gdy miał niespełna trzy lata. Odkrył wówczas konieczność godzenia się nie tylko na przyjemności, ale i straty, niekiedy bardzo osobiste. Objawienia doznał w trakcie zabiegów pielęgnacyjnych wokół palców. Po kąpieli stanowczo odmówił poddania się manikiurowi. Uciekł do pokoju i schował się w szafie. Od kilku miesięcy wielki dwudrzwiowy mebel, w razie potrzeby, zamieniał się w niezdobytą twierdzę. W mrocznym wnętrzu szukał schronienia przed wydarzeniami burzącymi codzienny spokój. Do takich zaliczał wizyty gości.

Szczególną nieufnością obdarzał dorosłych. Przychylniej na nich patrzył, jeśli przychodzili z dziećmi, na które musieli, chcąc nie chcąc, skupiać uwagę. Dzięki temu sam unikał zainteresowania. Sympatię przyjmował

podejrzliwie, a nawet wrogo, traktując jej przejawy za podstępne zamachy na swoją wolność. Rozróżniał dwa rodzaje strategii, uzależnionej od płci przeciwnika. I tak, wszelkiego rodzaju ciotki, kuszące czekoladą lub ciastkiem, chciały uwięzić go w ramionach i przytrzymać na kolanach, czego nie cierpiał.

Mimo pozornej powolności był zmyślnym dzieckiem. I bardzo sprytnym. Szybko zrozumiał, że panie, na ogół mniej ruchliwe, sadwiąc się na krzesłach, rzadko potem z nich wstawały. Przyczajony za drzwiami kuchni, gdzie zwykle urządziły pogaduszki, zakradał się do środka dopiero, gdy usiadły. Wtedy już czuł się bezpieczny, gdyż nigdy nie ponawiały prób okazania czułości. Smakołyków nie tracił, otrzymywał je nieco później. Większy upór prezentowali mężczyźni. Nie rezygnowali tak łatwo z zamiaru podniesienia chłopca do góry ponad głowę lub, co było gorsze, podrzucania, a tego nie znosił jeszcze bardziej. Do tej pory miał lęk wysokości.

Szafa była świadkiem wielu negocjacji. Dębowe skrzydła wydawały się nie do pokonania, tym bardziej że mama nigdy nie uchyliła drzwi nawet na centymetr.

Czasem ulegał przemożnej sile argumentów, w postaci posiłku. Innym razem mężnie odpierał oblężenie do momentu, kiedy opadał z sił i zasypiał. Budził się rano w łóżku zadziwiony, jakim sposobem do niego dotarł. Niepokój znikł, gdy nieco podrosł i pojął, że otworzenie niezdobytych, jak sądził, podwoi nie sprawiło mamie żadnego problemu. Wtedy również zrozumiał, że nie istniały szafy i drzwi, za którymi mógł się przed nią schować.

Jednak tamtego wieczoru, po długich perswazjach wyjaśnił, że skracanie paznokci, skądinąd prozaiczna czynność, jest dla niego zbyt bolesna.

Zdecydowanie, jak na trzylatka przystało, argumentował:

– Jak mi obcinasz paznokcie i włosy, to cały bolę.

– Nie bolę, tylko cierpię.

– To cierpię cały. Od głowy po nogi. Pocięłaś mnie, zobacz tu – wychlipał, pociągając nosem, wskazawszy podłogę. – O zobacz, tutaj leżę. Cały w kawałkach. Jak mi ciągle obcinasz czubki, jak mam urosnąć? Przez ciebie będę mały, a chciałem być duży.

Dopiero po kilku latach potrafił spokojnie przyjmować manipulacje nożyczkami wokół palców. Maszynka do włosów nadal wywoływała w nim nieprzyjemne uczucia i konieczność przystrzyżenia fryzury odwlekał w nieskończoność, czyli tyle, jak dalece starczało mamie cierpliwości. Jeśli chodzi o włosy, posiadała jej sporo, paznokcie nie miały tyle szczęścia.

W każdym razie przeświadczenie o zagrożeniu niesionym przez nieznane zakorzeniło się w chłopcu od najmłodszych lat. Dlatego wolał dni mijające powolnie. Takie, które mógł spędzać w zaciszu własnej duszy, zamiast wystawiać się na nieprzewidziane w skutkach przygody.

Bogata wyobraźnia podsuwała mu wszakże nie tylko posępne wizje. Miewał ciekawe pomysły, lecz rzadko je realizował. Pewnego dnia zaczął pisać historyjkę o rodzinie Kapci. Inspirację zaczerpnął zapewne z nieustannych batalii o domowe obuwie. Ciągle chodził boso i bez przerwy słyszał pytanie:

– Gdzie masz kapcie?

Niestety porzucił twórczość po pierwszym rozdziale. Przez kilka tygodni opowiadanie zaprzętało mu głowę i powoli nabierał ochoty do kontynuacji zaniechanego dzieła. Jednak wydarzenia, jakie nastąpiły w międzyczasie, zaprzepaściły te przymiarki.

I taki koniec spotykał zwykle wszystkie projekty. Pierwsza nieudana próba urzeczywistnienia rodzącego się zamysłu, bywała zarazem ostatnią. Wierzył, że posiadane umiejętności plasują go w dolnych granicach poniżej średniej. Ten pogląd potwierdzały liczne niepowodzenia. Nie dostrzegał przedmiotów, ustawicznie

na coś wpadał. Był dość nieuważny, zwykle wylewał mleko, wyciągając kubek z mikrofalówki. Robienie kanapek kończył sprzątaniem kuchni, smarował nie tylko chleb, również szafki, a składniki posiłku łądowały na podłodze. Rozbicie szklanki, wykonanej według zapewnień producenta, z nietłukącego tworzywa, nie stanowiło dla chłopca trudności. Każdego dnia był odkrywcą własnych rzeczy, wciąż czegoś szukał, bo nie pamiętał, co i gdzie położył.

Czas Aleksandra biegł niespiesznie, dlatego różnego rodzaju polecenia kwitował słówkiem „zaraz”, potrzebując chwili na zastanowienie, czy sprostą zadaniu. Przeważnie dochodził do wniosku, że nie i rezygnował, jeżeli mógł.

Z usposobienia melancholijny flegmatyk, z góry zakładał niepowodzenie, przy czym sukces przyjmował z osłupieniem. Tłumaczył go zbiegiem okoliczności, dając do zrozumienia, że następnym razem będzie o wiele gorzej. Tylko w nielicznych dniach, gdy miało się zdarzyć coś naprawdę wyjątkowego, o czym został uprzedzony, bez marudzenia wykonywał zlecone prace. Prawdę powiedziawszy, nie tylko zaczynał, ale co bardziej zadowalające, kończył powierzoną czynność w miarę szybko, a zwykle największym problemem była ich realizacja w całości.

Jak już wspomniano, rzadko bywał przejęty czymś na tyle, żeby zapomnieć o swoich rozważaniach.

Na ogół skory do pomocy, przejawiał owe chęci nieproszony, równocześnie odkładając przypisane obowiązki na bliżej nieokreślony termin. Domowe katastrofy wywoływały u niego lawinę pytań. Dociekał czy się do nich przyczynił, również wówczas, gdy jego udział został wykluczony.

W ten oto sposób, nim skończył dziesięć lat, zgromadził tyle kompleksów, że mógłby nimi obdarzyć kilka osób i jeszcze sporo dla siebie zachować.

Niewątpliwie taką postawę zdeterminowała astma, na którą zapadł we wczesnym dzieciństwie. Dość szybko powiązał zatroskane spojrzenie mamy i jej ostrzeżenia: nie krzycz, nie biegaj, nie skacz, z momentami najlepszej zabawy. Mając zaledwie kilka lat, nauczył się dobrowolnie rezygnować z różnych atrakcji i niespodzianek, tak placów zabaw, jak i wesołego miasteczka. Wszelkie dokazywania często kończyły się zgrzytem, kiedy atak duszności przerywał harce w najmniej odpowiednich chwilach. Musiał wówczas kłaść się do łóżka, podczas gdy reszta rówieśników bawiła się dalej. Prędko docenił monotonną codzienność bez przyjemności, ale i bez przykrych doznań. Niestety, przegapił, że życie nie składa się z samych niepowodzeń, a szczęśliwych dni nie brakuje. Miewał oczywiście chwile radości, ale na dnie serca czała się zawsze myśl, że nie mogą trwać zbyt długo.

Jedna rzecz ekscytowała Aleksandra niezmiennie i tylko ona wzbudzała jego chęć do działania. Wraz z naciśnięciem klawisza enter, wiecznie ospały chłopiec w kilka sekund przeistaczał się w kogoś zupełnie innego. Siedząc przed monitorem, ufał wrodzonym zdolnościom, podejmował błyskawiczne decyzje i potrafił wykorzystać każdą sposobność do osiągnięcia zamierzonego celu. Z rozmysłem budował miasta, z uwagą kierował życiem mieszkańców i dbał o zaopatrzenie, aby niczego im nie brakowało. Z zapalem opracowywał militarne plany i prowadził wojska do zwycięstwa. Wcielając się w postać generała, czy jakiegoś mitycznego bohatera, zapominał o całym realnym świecie. Wirtualne krainy wciągały Aleksandra w swoje sieci i najchętniej zostałby w nich na zawsze. Jednak powrót do rzeczywistości wymuszał zainstalowany na dysku program, po przekroczeniu limitu wyznaczonego czasu, zamykał do nich dostęp.

Tylko, co to jest sześć godzin w ciągu tygodnia? Co prawda, jeśli przynosił dobre oceny ze szkoły, w nagrodę otrzymywał dodatkowe minuty, lecz takie przypadki nie zdarzały się zbyt często.

Wraz z wyłączeniem monitora gasł zapal chłopca, tłąc się nadal w zakamarkach duszy i rozpalał przy następnej sesji z komputerem.

Aleksander uważał czytanie książek za zajęcie dość męczące. Uwielbiał za to różne historie opowiadane żywym słowem. Pod warunkiem, że nie musiał sam być narratorem.

Rozdział II.

Opuszczona posiadłość

Prawie w centrum Torunia znajdowała się nietypowa ulica. Została podzielona na dwa odcinki przez stojące w poprzek dwa jednorodzinne domy. Zajmowały nie tylko szerokość drogi, ale i sporo przyległego terenu. Oczywiście wszędzie można spotkać takie zaułki. Jednak w tym przypadku zachowano ciągłość numeracji, nie zważając na zaślepiające budynki. Za posesjami wzniesiono nowoczesne bloki. Zadbano o asfaltowy dojazd, parkingi oraz przyzwoite chodniki.

Drugi fragment prezentował się całkowicie niemiejsko i nie zasługiwał na miano ulicy. Raz do roku po wysypanej kruszywem jezdni przejeżdżał wielki walec, Wyrównywał nawierzchnię, nie zostawiając nawet skromnego pobocza dla pieszych. Po deszczu lub wiosną, kiedy topniał śnieg, droga zmieniała się w błotnistą breję, latem zaś każdy przejeżdżający samochód wznosił za sobą tumany kurzu. Nieznający tego miejsca przechodnie i kierowcy – oni chyba bardziej – w dosadny sposób okazywali irytację, bo nigdy nie zadbano o umieszczenie znaku informującego o braku przejazdu.

Aleksander mieszkał właśnie po tej gorszej stronie. Ten zapomniany przez drogowców kawałek miasta posiadał jedną zaletę. Miejscowe dzieciaki mogły w miarę bezpiecznie grać w piłkę i urządzać wyścigi rowkowe. Tuż przy płotach zagradzających przejście leżała od zawsze olbrzymia kałuża. Lokatorzy próbowali zasypać wodę piaskiem, co okazało się bardzo nietrafionym pomysłem. W efekcie przybył im dodatkowy kłopot z rozwiewanym piachem w letnie miesiące, tylko wtedy wysychała. Jednak zimą mieli z niej jakiś pożytek, zamarznęta tworzyła dużą ślizgawkę i chętnie z niej korzystano, jeżdżąc na łyżwach.

Do jednej strony ulicy przylegały spore parcele z parterowymi budynkami. Przeciwną zajmowały dwie nieruchomości. Pierwsza była dużą narożną działką z przedwojenną willą i szpalerem wiekowych dębów oraz sosen. Graniczyła z posesją ciągnącą się aż do nowego osiedla i dawnymi czasy musiała stanowić piękną rezydencję. W latach świetności prawie ćwierć hektarową powierzchnię strzegły przed wścibskimi oczami wysokie, posadzone w dwóch rzędach, tuje i świerki. Teraz znacznie przerzedzone, częściowo uschnięte iglaki nie zasłaniały przygnębiającego obrazu postępującej degradacji. Posiadłość od kilku dekad wyglądała na porzuconą i bezpańską.

W głębi, wśród owocowych drzew, widniał okazały, piętrowy dwór wzniesiony z sosnowych bali. Trwał samotny, zaniedbany i ponury, niezamieszkały od tak dawna, że chyba nikt nie pamiętał ostatnich właścicieli. W każdym razie żaden z sąsiadów o nich nie wspominał. Na skraju niewielkiego sadu rosły porzeczeki i niskopienny agrest, a przy południowej ścianie budynku pięły się do góry winogrona. Wiosną białe kwiaty zdobiły gałęzie na drzewach, później opadały na ziemię niczym śnieg. Tylko wtedy ogród i zarośnięty, niewielki park, przyciągały wzrok. W pozostałe pory roku odstraszały wybujające chwasty i na wpół martwe krzaki.

Stan terenu nie przeszkadzał miejscowej dzieciarni i młodzieży. Podzieliwszy go na rejony, urzędowali w nim do woli. Pod koniec lata zrywali marne, robaczywe owoce, ale każdy, kto miał okazję skosztować jabłek, musiał przyznać, że smakiem i aromatem prześcigają leżące na straganach. Skarlałe krzewy agrestów i malin również zaspokajały apetyt w trakcie tajemnych narad, podczas których opracowywano szczegółowo

plany podchodów i zasadzek na wrogie obozy ukryte w innej części posesji. Rzadko dochodziło do pomyślnej aneksji zaatakowanego terytorium i powiększenia włości. A jeżeli już do tego doszło, szybki kontratak przywracał stary porządek.

Dzieci było niespełna tuzin, bawiły się na ogół zgodnie, a drobne sprzeczki zapominały do następnego dnia. Młodzież, mniej liczna, za to czująca się już zupełnie dorosłe, choć do otrzymania dowodu osobistego najstarszemu z nich brakowało jeszcze dwóch lat, nie stroniła od meczów piłki nożnej, czy wyścigów rowerowych, rozgrywanych z małolatami.

Z racji starszeństwa wybrali dla siebie szeroki podjazd i część trawnika z resztkami dużego, trójkątnego klombu. Obszerny, zadaszony ganek dawał schronienie w razie deszczu. Ustawili na nim przytazszone stare krzesła i stół. W szafce trzymali zdekompletowane naczynia, wykorzystywane w czasie wieczornych schadzki. Nikogo tam nie wpuszczali. Bliskość domów, a raczej rodziców, sprawiła, że nie pozwalali sobie na większe draki. Wiedzieli, że wystarczy jedna zbyt głośna zabawa i spotkania będą należały do przeszłości. Z tego też powodu nie zdradzali nikomu spoza ulicy tak niezwykłego lokum. Opuszczony budynek nie leżał w kręgu ich zainteresowań, co nie dziwi, skoro wszystkie drzwi i okna zabito solidnymi deskami. Poza tym ogród spełniał wymogi doskonałego miejsca na wszelkiego rodzaju psoty.

Aleksander z rzadka uczestniczył we wspólnych zabawach, dosyć szybko go męczyły. I nużyły. Jednakże koledzy wytrwale dopytywali, kiedy wyjdzie, na co nieodmiennie słyszeli:

– Teraz to chyba nie.

Niezrażeni, po godzinie bądź dwóch, ponawiali próbę. Znali jego problemy zdrowotne, więc okazywali cierpliwość. Ponieważ chłopiec często chorował, czas spędzony w łóżku poświęcał ulubionej dziedzinie. Nieustannie pogłębiał wiedzę informatyczną i wkrótce został uznany, tak przez młodych, jak i starszych, za specjalistę. Kiedy w końcu raczył wyjść na dwór, wyciągano od niego wiele cennych wiadomości o komputerach i grach, które były głównym tematem rozmów nastolatków. Poza tym, chociaż astmatyk, sprawdził się jako bramkarz. W czasie wakacji mecze rozgrywano kilka razy dziennie i stanowił cenny nabytek do zespołu.

Ta swoista enklawa w centralnej części Torunia miała swój własny, spokojny, niemal wiejski rytm, całkiem niezależny od reszty dzielnicy. Mimo utrudnień, tubylcy z zadowoleniem przyjmowali, że główny nurt życia, nie tak małej w końcu aglomeracji, omijał ich z daleka. Prawdę mówiąc, dorosłych z trudem namawiano do wypadów na miasto. Młodsze pokolenie, nabrawszy podobnych zwyczajów, niechętnie wystawiało nos dalej niż za róg ulicy. Woleli przebywać w strasznym dworze, tak od lat nazywano w okolicy zaniedbaną nieruchomość.

Rozdział III.

Nowy sąsiad

Kres harcom w ogrodzie przyniosła wiosną, trzy lata temu, pięcioosobowa ekipa remontowa. Robotnicy zjawili się niespodzianie o świcie i każdego dnia pracowali od rana do wieczora. Naprawiali i odnawiali budynek, tak w środku, jak i na zewnątrz. Nie używali narzędzi elektrycznych. Do uszu przechodniów dobiegał tylko stukot młotków i szorstki zgrzyt piły ręcznej. Porządkując otoczenie nieruchomości, nie usunęli zdziuczonych krzewów. Nadal skrywały przed oczami stojący w oddali gmach. Skończyli po dwóch tygodniach wieczorem. Następnego ranka, osoby spieszące do pracy ujrzały rzadki widok, przed furtką stał konny wóz, wyładowany pakunkami. Razem z nim przybył nowy lokator.

Był to mężczyzna grubo po siedemdziesiątce. Wysoki, szczupły, o pociągłej twarzy przyozdobionej długimi siwymi wąsami. Na pochylone plecy opadały srebrzyste włosy. Miał dość szybki, energiczny krok, nieprzystający w żaden sposób do wieku, na który wskazywał jego wygląd. Wkrótce sąsiedzi przekonali się, że jegomość niezmiennie chodzi w szarym komplecie, składającym się z wąskich spodni i koszuli. Przypominała krótką sutannę za sprawą mnóstwa małych guziczków i niektórzy dywagowali, czy starzec nie jest duchownym na emeryturze. Zimą zakładał długą do kostek pelerynę, o ton ciemniejszą niż reszta ubrania. Nigdy, poza pierwszym dniem, kiedy pomagał wnosić pakunki, nie widziano go z odkrytą głową. Szerokie, lekko zwisające rondo kapelusza skrywało zasępione, surowe oblicze.

Jeszcze przed jego przyjazdem, człowiek z grupy remontowej zatrudnił w charakterze gospodyni, mieszkającą w sąsiedniej willi, Agnieszkę Janicką. Po pierwszej bytności w pracy zaszła do mamy Aleksandra. Popijając kawę, dzieliła się z przyjaciółką wrażeniami.

– W tym domu nie ma żadnego potrzebnego sprzętu. Ani lodówki, ani telewizora, nawet radia. Odetchnęłam na widok pralki, bo pręcej spodziewałam się ujrzeć tarę do prania – stwierdziła sarkastycznie, a zmieniając ton, dorzuciła z szacunkiem. – On musi dużo czytać. W jednym z pokoi są same regały z książkami jak w naszej bibliotece. Przy tym wszystkim, albo raczej braku tego wszystkiego, staruszek idzie z duchem czasu. Cały dzionek spędził przy komputerze.

– Uff, dobrze, że mam pralkę, bo też nie mam telewizora i radia – skomentowała rozbawiona mama.

– A, faktycznie, wszystko oglądasz w internecie – potwierdziła z uśmiechem Janicka.

– No właśnie, może surfuje po sieci? – zasugerował Aleksander, nadstawiając uszy na nowiny.

– Nie. Nie ma połączenia, bo pytałam, czy może mi sprawdzić rozkład autobusów. Jest nieco dziwny, jak to mówią niedzisiejszy. Prawie się nie odzywa, a kiedy już raczy, to tak bardziej mamrocze. Musiałam prosić kilka razy, żeby powtórzył, bo nic nie rozumiałam. Aha, kazał do siebie mówić Gabriel. Nie bardzo wiem, czy to imię, czy nazwisko.

Tej kwestii nie udało się rozstrzygnąć przez następne tygodnie, ponieważ nie dostawał żadnych listów. Agnieszka nigdzie nie dostrzegła urzędowych czy osobistych pism, mogących to wyjaśnić. Później już nikt nie zawracał sobie tym głowy. Nie odgadła, czym zajmował się wcześniej i jaki miał zawód. Żył skromnie,

choć według niej należał do zamożnych. W każdym razie nie skąpił gotówki, płacąc godziwie za utrzymanie porządku w domu.

Powierając Janickiej obowiązki gospodyni, starszy pan ograniczył je do dworu, sobie zastrzegł troskę o ogród. A chociaż nigdy nie zobaczyła, żeby cokolwiek robił w tym kierunku, następnego lata gałęzie wydały całkiem obfity i dorodny plon.

Sandra, siostra chłopca, odmówiła zjedzenia jabłka, kiedy Agnieszka próbowała ją do tego nakłonić. Na argument, że jest bardzo dobre i nierobaczywe, odrzekła z kwaśną miną:

– Nie chcę. Nie ma naturalnego i żywego białka bez konserwantów – wybrzydzała, przywłaszczając sobie reklamowy slogan.

Janicka mogła brać owoce do woli, co już w kolejnym roku skwapliwie wykorzystała. Za pierwszym razem zwlekała i pewnego ranka ujrzała puste gałęzie. Zdumiona zagadnęła gospodarza:

– Panie Gabrielu, gruszki to chyba mogły powisieć, jeszcze nie dojrzały.

– O czym pani mówi? – zapytał.

– O tym, że drzewa zostały ogołoczone. Nie wychodził pan dzisiaj na dwór?

– Nie – mruknął.

– Ach tak... Pewnie dzieciaki przyszły wieczorem. Zanim pan tu nastał, traktowały ten ogród, jak swój. Widać obecność właściciela ich nie powstrzymała. A zresztą, otwarta bramka to wręcz zaproszenie. Tyle razy mówiłam, że trzeba zamykać furtkę. Przynajmniej na noc.

Ponieważ nic nie odpowiedział, kontynuowała, nie zważając na milczenie jaśnie pana, bo tak w myślach i w pogaduszkach z przyjaciółką, nazywała pana Gabriela. Po paru miesiącach osvajania się z jego nawykami odważyła się poruszyć sprawę bramki. Od tego czasu nic się nie zmieniło, co zresztą przy każdej sposobności wytykała. Uważała pracodawcę, pomimo kilku dziwactw, za człowieka dostojnego, a nawet wywodzącego się ze starej szlachty. Odzywał się rzadko, lecz na ogół wysłuchiwał jej monologów w skupieniu. Kiedy miał już dość paplaniny, kończył ją z lekka uszczypliwie, lecz bez złośliwości.

– Nie mogę uwierzyć, że oberwały wszystko do cna. Nawet ogryzka nie zostawili. To chyba niemożliwe? Ciekawe, kto się połakomił i wtargnął tutaj tak bezczelnie. Jestem pewna, że to nikt z okolicy. Bo do naszych dzieciaków to niepodobne. Wie pan, chwycą jabłka, jedno, albo dwa, ale przecież nie wszystkie! Naprawdę nic pan nie słyszał? – urwała, patrząc bystro, podejrzewała, że było wręcz odwrotnie i doskonale wiedział, co działo się w nocy.

– Niech Agnieszka nie zaprzęta sobie tym głowy. Nikt tu bez mojej zgody nie przyszedł i nie wziął tych jabłek, gruszek, czy co tam jeszcze było. A na przyszłość proszę nie odkładać zbiorów na później, tylko brać, kiedy wszystko dojrzeje – odpowiedział sucho, zirytowany dociekaniem.

Janicką najbardziej zastanawiało co innego. Starzec zniknął bez zapowiedzi, nie uprzedzając na jak długo i równie nieoczekiwanie wracał. Agnieszka utyskiwała na ten zwyczaj:

– Co za człowiek! Ciągłe proszę, niech informuje o tych wyjazdach. Dom zostawia zawsze otwarty. Nigdy nie przekręca zasuw w drzwiach. A on mi na to:

– Niech się pani nie martwi. Tu nikt nie wejdzie, czy jestem, czy nie. Poza tym nie wiem, gdzie mam klucze, nie są mi potrzebne.

I na tym stanęło.

Był to tajemniczy osobnik. Mrukliwe odpowiedzi na powitania, zawsze ściągnięte, posępne i srogie oblicze, wiecznie zacienione kapeluszem, skutecznie hamowały sąsiadów przed wszelkimi próbami zawarcia z nim bliższej znajomości.

Wystarczyło kilka miesięcy, a uznano Gabriela za odmieńca, przy okazji wykluczono, że mógł w przeszłości sprawować funkcję duchownego. Rodzice, ostrzegając młodsze pociechy, nakazywali omijać dwór z daleka. Młodzież nie potrzebowała przestróg, nie zwracali na niego uwagi.

Rozdział IV.

Sekrety pana Gabriela

Przez ponad rok mieszkaniec dworu nie utrzymywał żadnych, nawet sporadycznych kontaktów z sąsiedzami. Poza mamą Aleksandra. Tak się złożyło, że wejścia do obu posesji leżały naprzeciwko, więc nieuniknione były wspólne spotkania. Wymieniali wówczas pozdrowienia lub parę słów, zazwyczaj na temat pogody.

Starzec niekiedy podążał szybkim krokiem do miasta. Nie wiadomo w jakich sprawach. Z pewnością nie wybierał się po zakupy. Nigdy nic stamtąd nie przynosił, a wszelkie sprawunki należały do obowiązków gospodyni. Niekiedy przechadzał się po ogrodzie pochłonięty myślami, przygarbiony, jakby obciążony wielkim brzemieniem i nieobecny duchem. Wrywany z zamyślenia przystawał, pochylał się nad mijanym krzewem lub oglądał drzewo. Potem ruszał dalej w zadumany spacer, tracąc zainteresowanie stanem roślin.

Agnieszka nie zauważyła starań gospodarza o poprawę vegetacji zieleni, wszakże po dwóch latach ogród wyglądał inaczej. Odzyskał świeżość i młodość, choć ani krzewy a tym bardziej drzewa nie nosiły śladu przycinania.

Czerwone kleksy tulipanów zegnały bure, zimowe dni. Gdzieś tam drobne kwiatki szafirków i niezapominajek niebiesciły cieniste zakątki. Biało-różowe stokrotki wychylały główki ponad żdźbła trawy. Na klombie zakwitły wczesną wiosną krokusy. Latem, niespodziewanie, lilie rozchyliły kielichy, wznosząc je dumnie w kręgu dwubarwnych orlików. Nie była to imponująca rabata, lecz Janicka, spostrzegając pewnego ranka rozwinięte kwiaty, przystanąła zachwycona.

Owe zmiany, w rzeczywistości nikłe i będące tylko cieniami dawnej świetności, sprawiły, że posiadłość przestała wyglądać na porzuconą siedzibę. Jakby dziękowała za odzyskanie właściciela i spokoju.

Ozdobne byliny, przez wiele lat tratowane butami dzieciarni, podczas ich nieustannych gonitw i podchodów, nie mogły rozwinąć pąków. Mimo to przetrwały, skarłałe, zdziczałe, ledwie wystające nad ziemią. Agnieszka, ujrawszy miniaturowe odrosty, ze wzruszeniem dumiała nad wielką siłą natury. Wystarczyło dać przyrodzie szansę, a ukazywała swoją żywotność w barwach i kształtach, mogących ukryć każdą brzydotę. Gałęzie, niełamane w trakcie wspinaczek lub na potrzeby uzbrojenia dziecięcych armii, wypuściły nowe ulistnione pędy, niby zielone protezy dla zdrewniałych kikutów. Pojawiały się nowe rośliny i odżywały stare, na wpół martwe, niemalże uschnięte, co wydawało się wręcz niezwykle.

Nawet samosiejki, do tej pory najbardziej szpecące posesję przydawały jej pewnego uroku. Sąsiedzi zobaczyli w nich namiastkę dziewiczego zakątka i, mimo woli, rozważali, czy na swoich działkach nie pozostawić, chociaż kilka takich okazów.

Tak minęły dwa lata. W trakcie poprzednich wakacji starszy pan podjął próbę nawiązania kontaktów z okoliczną młodzieżą. Nadal unikał rozmów z dorosłymi. Wychodził przed furtkę lub oparty o płot, podpytywał ich o gry komputerowe. Dociekał, jak są tworzone, czy mają takie same zasady. Początkowo odpowiadali nieśmiało, później nabrali więcej odwagi. Czasem z rozbawieniem pomagali rozwiązać podsunięty problem, zdumieni, że sam nie potrafił go rozwikłać.

– Phi, on zadaje takie pytania, jak Sandra, ale ona ma tylko sześć lat – skomentował Aleksander, usłyszawszy, o czym rozprawiają z sąsiadem, kiedy konsultowano z nim postawioną kwestię.

Dla niespełna trzynastolatka, osoba po pięćdziesiątce jest już stara. Mężczyzna miał co prawda żwawe i energiczne ruchy, lecz poza tym wyglądał, jakby dobiegał setki.

– Czy taki wiekowy staruszek interesuje się komputerem? – Po namyśle ocenił, że musi być mniej sędziwy, niż się zdawało.

Pan Gabriel uparcie zagadywał nastolatków. Trzeba przyznać, że bardzo się starali i tłumaczyli, jak umieli, różne zagadnienia. Jednak on nie pojmował podstawowych trików, więc nie mógł sobie poradzić z bardziej skomplikowanymi strategiami, a właśnie o takie wypytywał. Agnieszka stwierdziła przy jakiejś okazji:

– Jaśnie pan jest piorunująco ciężko kapujący w sprawach komputera i nie bardzo rozumiem, po co tyle godzin spędza przed monitorem.

Po paru tygodniach, być może zniechęcony, zaprzestał dyskusji i nie wychodził z domu tak często jak latem. Janicka zauważyła, że nie porzucił ulubionej rozrywki. Pomimo niepowodzeń w rozgrywce – słyszała niezadowolone mruczenie z czynionych postępów i wciąż próbował odnieść sukces w zmaganiach zbyt trudnym dla niego programem.

Nadeszła zima tego roku. Podczas ferii Janicka wyjechała z dziećmi w góry. Na czas swojej nieobecności powierzyła przyjaciółce dyskretną opiekę nad jaśnie panem. Ponieważ starzec nie pokazywał się od tygodnia, zaniepokojona, zleciła Aleksandrowi zadanie:

– Idź, proszę, sprawdzić, czy pan Gabriel nie jest chory. Albo potrzebuje czegoś ze sklepu? Agnieszka przed wyjazdem zrobiła potrzebne zakupy, ale może trzeba uzupełnić zapasy.

Aleksander nie miał ochoty zaglądać do sąsiada. Ubierał się z ociąganiem. Z trzy razy upewniał się, czy to konieczne. Nareszcie, po jakimś kwadransie, wyszedł. Odległość siedemnastu metrów, tyle dzieliło go do furtki po drugiej stronie ulicy, pokonał w ślimaczym tempie dziesięciu minut. W końcu postawił nogi na krętej ścieżce. Nagle poczuł się nieswojo, jakby wtargnął na zakazane terytorium. Przyspieszył kroku i z ulgą wspiął się na ganek. Zapukał. Odczekał dłuższą chwilę, dając staruszkowi czas na reakcję. Zadowolony, że nikogo nie zastał, zaczął schodzić po zaśnieżonych stopniach.

– Słucham? – W wieczornej ciszy drzwi zaskrzypiały nieprzyjemnie, wręcz złowrogo.

– E... Znaczący, mama pyta, czy wszystko w porządku i czy nie trzeba czegoś kupić – wyterkotał jak z karabinu.

– Nie. Niczego mi nie brakuje. Dziękuję, wszystko w porządku. – Burknęło cicho spod kapelusza.

– Aha, to dobrze. Do widzenia.

– Do widzenia, chłopcze.

Nie czekając, aż mężczyzna zamknie, zbiegł ze schodów. Na ścieżce zwolnił. Znowu dopadł go nieokreślony lęk, czy może obawa, która zwykle towarzyszy wędrowce po nieznanym miejscu. Nigdy przedtem czegoś podobnego nie doświadczył, a przecież spędził tutaj niejedną godzinę. Nie tylko za dnia. Z uwagą rozejrzał się dookoła. Odkąd przybył nowy właściciel, oglądał posiadłość tylko przez płot. O zimowym zmierzchu wyglądała jak dawniej – samotna i ponura. A zarazem zupełnie inaczej niż zapamiętał. Jednak wiedział, że przyczyna tej zmiany nie leżała w ogrodzie. Dopiero wiosna pozwalała obserwować, jak się odradza i powoli wraca do chlubnego stanu sprzed wielu lat.

Dochodząc do furtki, wymruczał:

– Coś jest nie tak. Ciekawe co on tak długo mi nie otwierał. Sterczałem tam chyba z pięć minut. I właściwie, dlaczego już tu nie przychodzimy?

Bywało, letnią nocą, a i w dzień też się zdarzało, że wybierali się do okolicznych działek na pachtę, zrywając parę jabłek, gruszek czy śliwek, kiedy zgłodnieli. Od trzech lat, nie uzgadniając tego między sobą, z niewiadomego powodu, omijali teren, gdzie rosły najsmaczniejsze jabłka.

Wychodząc na ulicę, rzucił ostatnie spojrzenie do tyłu.

Na tle bezlistnych, ośnieżonych drzew, gmach zdawał się niesamowity i mroczny. Czyli taki jak o nim kiedyś myślał – na prawdziwie straszny dwór. Nie odrywając od niego wzroku, wspomniął dzień, gdy skończywszy dziesiąty rok życia, dostąpił wtajemniczenia. Starszy kolega wyszeptał pilnie strzeżony sekret:

– To tylko stara, opuszczona chałupa, nic tam nie straszy. Ale dobrze się nadaje do odstraszenia smarkaczy, żeby się tutaj nie pętali – wyjawiał z dumną miną, jaką to sprytną metodę znaleziono na malców, przeskadzających w wielce doniosłych sprawach dziesięciolatków.

Aleksander w zadumie spoglądał na ciemniejący wśród śniegu drewniany dom. Przypomniawszy sobie, że mężczyzna był w kapeluszu.

– Może wychodził albo właśnie przyszedł? Chyba nie nosi go przez cały czas? A jeśli chciał wyjść, czemu tego nie zrobił?

Tknięty nagłą myślą wrócił i, najciszej jak potrafił, obszedł budynek dookoła. To, co zobaczył, czy raczej nie zobaczył, wprawilo go w jeszcze większe zakłopotanie. Odkrył nową zagadkę.

– Dziwne jakieś. Prądu nie ma, czy jak? A nie, przecież, jak w końcu wyjrzał, w środku było jasno. To gdzie się podział?

W oknach brakowało firan i zasłon, nie zawieszono również rolet. Janicka próbowała początkowo nakłonić gospodarza do zamontowania karniszy, na co nie wyrażał zgody. A gdy po raz kolejny podjęła ten temat, wyraził swoje stanowisko wyjątkowo nietypowo, bo długim, co mu się nie zdarzało, wywodem:

– Nie lubię żadnych materii w oknach. Nikt tu przecież nie zajrzy, droga jest za daleko, krzewy wybujały wysoko i wszystko zasłaniają. Poza tym... Nie bardzo rozumiem, dlaczego Agnieszka chce usilnie dołożyć sobie pracy. Przecież będzie musiała to prać, suszyć, może nawet prasować, a w końcu upinać. Czemu to moja droga gospodyni tak się upiera? Czyżbyś w swojej uczciwości doszła do wniosku, że za dużo płacę i trzeba znaleźć zajęcie, które to wyrówna? – Zawiesił głos, a kiedy nie odpowiedziała, dokończył kpiąco:

– Ostatecznie, jeśli to jest powód, możemy się dogadać. Będę płacił mniej. Czy to rozwiązanie wystarczy i nie będę musiał już więcej wysłuchiwać tych propozycji?

Janicka ze śmiechem opowiedziała później przyjaciółce, jak dostała po nosie, przyrzekając, że więcej nie poruszy tej kwestii.

Aleksander, zaintrygowany, poświęcił kilka wieczorów na spacer z psem, czym wywołał zdumienie mamy, gdyż nigdy przedtem tego nie robił. Okrążał nieruchomość i wypatrywał zapalonych lamp. Nie śmiał przekroczyć furtki i wejść na biegnącą zakosami dróżkę. Poświata księżycy kładła tajemnicze cienie, suche liście szeleściły ostrzegawczo. Gałęzie drżały, uderzając głucho, ocierały się o pnie, chociaż ledwie wyczuwał nikłe podmuchy wiatru. Wyraźnie słyszał, jak coś przemykało między oprószonymi białym puchem drzewami. Nadkładał drogi i z następnej przecznicy próbował cokolwiek zobaczyć, ale nigdzie nie dostrzegł choćby cienkiej smugi światła. Parę dni później, po zapadnięciu zmierzchu ujrzał, przez gęste krzewy, słaby blask na parterze, a następnego dnia wróciła Janicka. Od tego czasu, po zapadnięciu zmroku, przynajmniej w jednym pomieszczeniu było jasno. Oczywiście oprócz dni, kiedy właściciel udawał się w kolejną, niezapowiedzianą podróż.

Ponieważ wszystko wróciło do normy, Aleksander stracił zainteresowanie ogrodem, straszonym dworem i jego mieszkańcem.

Do czasu.

Minęło kilka miesięcy. Pewnego dnia, pod koniec czerwca, Agnieszka, utartym zwyczajem, wpadła wieczorem na pogaduszki. Wyglądała na zafrasowaną. Piła kawę wyjątkowo milcząca, co nie było do niej podobne. Na ogół, ledwie stanęła na progu, już relacjonowała najnowsze wydarzenia z okolicy, bliższej i dalszej. Dzięki tym sprawozdaniom mama Aleksandra była na bieżąco, czy chciała, czy nie, z informacjami lokalnymi, a nie rzadko i ze świata. Wszakże tego dnia jej osobisty reporter bez słowa usiadł ciężko przy stole.

Janicka wzięła podsunietą kawę i powoli sączyła. W końcu odstawiła pustą filiżankę i odezwała się stro-piona:

– Nigdy ci tego nie mówiłam, ale coś niepojętego dzieje się w starym dworze. Może nie na darmo nazy-wają go strasznym – zaczęła ścisłym głosem i niepewną miną. – Wiesz, jak irytują mnie wyjazdy pana Gabriela. Zawsze nagle i niespodziewane. I zupełnie nieodpowiedzialne. Człowiek ma już swoje lata, a jest taki beztroski. Zostawiać otwarty dom w dzisiejszych czasach! Całe szczęście, że nigdy nic nie zginęło. I ta jego pewność, że nikt się nie zakradnie. Zupełnie jak dziecko – odzyskawszy rezon, machnęła ręką, bardziej w geście pobłażania, jak lekceważenia. – Ech, próbuję do tego przywyknąć. W końcu zaglądam tam codzien-nie, więc mogę wszystko pozamykać, jakby co. Ale czasem się zdarza coś bardziej – zawahała się, wzięła głęboki oddech i zrzuciła ciężar z serca. – No wiesz, czasami napędzi mi takiego strachu! Bo on znika lub, co chyba gorsze, nagle się pojawia!

Aleksander akurat chciał wejść do kuchni. Na tak niepokojące stwierdzenie przystanął w korytarzu i nad-stawił uszy, starając się nie zdradzić swojej obecności.

– Co znaczy – znika i pojawia? Nie mówi, że wychodzi? Nie zawiadamia, gdy wraca? – dopytywała mama. – No faktycznie, można uznać, że to mało uprzejme, chociaż wydawał się dobrze wychowany. Z dru-giej strony jest u siebie. Poza tym już dawno ma dowód i nie musi się chyba spowiadać, co będzie robił. Rozumiem, że się o niego troszczysz, ale to chyba jeszcze nie powód do... No właśnie, do czego? Bo jesteś jakaś zmartwiona.

– Zmartwiona! Też coś! – prychnęła zbulwersowana. – Toż mi serce stanęło! I żebyś wiedziała – nie pierwszy już raz! Ja nie wiem, czy chcę się narażać na takie emocje. Kiedy jaśnie pan ulatnia się z domu, zawsze to robi po angielsku. Nauczona doświadczeniem sprawdzam, czy wszystko jest pozamykane i czy na pewno go nie ma. A to dlatego, że parę razy przyłapałam go, jak pokazywał się tam, gdzie być nie powin-nien. Nie wiedzieć jakim sposobem. Rozumiem, że ktoś może skradać się jak kot i go nie usłyszę. Jednak ślepa nie jestem. Kiedyś na przykład coś mi w holu za plecami zamajaczyło. Początkowo myślałam, że to cień drzew na ścianie. Nie wiem, co mnie podkusiło, w każdym razie spojrzałam w momencie, gdy prze-mykał z jednego pomieszczenia do drugiego. Oba były zamknięte na klucz. Bo tam większość pokoi jest tak pozamykana. Trochę to dziwne, ale może dlatego nie boi się złodziei. Nie ważne. W każdym razie nie miał prawa tak zrobić, znaczy się wejść!

– Czy ty nie przesadzasz, cóż w tym dziwnego?

– Bo ciekawe jak? Zauważyłam, że wychodzi na dwór, bo liście zaczęło nawiewać, jesienią to było. Zatrzasnęłam za nim jakoś tak odruchowo i wróciłam do swojej roboty. Nie opuszczałam holu przez godzinę. Od razu ci mówię, że widziałam na ganku jego plecy. Czy wiesz, jak się wtedy poczułam, kiedy zobaczyłam go w środku?! Innym razem już miałam wracać do domu, ale słyszę, że idzie na górę i pod nogami piach mu trzeszczy. Pomyślałam, że trzeba pozamiatać schody, a potem postanowiłam wykorzystać, że jest cie-pło i zabrałam się za mycie. Zajęło mi to z dwie godziny, bo jeszcze balustradę czyściłam. I nagle patrzę, a on wychodzi z tej swojej biblioteki. Chyba był zaskoczony, gdy mnie zobaczył. Nawet coś tam mamrotał,

że przecież miało mnie nie być. Zaskoczony! – powtórzyła z gniewem. – A co ja miałam powiedzieć?! Tam się dzieje coś niepojętego!

– Nie wiem, co ci rzec, ale z pewnością jest jakieś wytłumaczenie...

– Nie. Nie ma – przerwała wzburzona. – Dzisiaj spotkało mnie to znowu. Od dwóch dni przepadł bez wieści. Rano jeszcze nie wrócił. Wiem, bo przekręciłam wieczorem zamek w drzwiach, a jak wiesz, on nigdy tego nie robi.

– Może akurat mu się zdarzyło.

– Po pierwsze nawet nie wiem, czy jaśnie pan w ogóle posiada klucze od dworu. Po drugie... – Agnieszka zawahała się, a potem wyjawiała, lekko zażenowana. – No wiesz... Kiedy on tak znika na dłużej, zostawiam sobie na progu różne takie... Ech, nie ważne, w każdym razie nie były ruszone.

– Agnieszko! Zaskakujesz mnie. – Aleksander niemal widział zdumioną minę mamy. – W życiu bym cię nie podejrzewała o szpiegowskie metody.

– Ech... Sama bym się nie podejrzewała. Ale musiałam poszukać jakiegoś zabezpieczenia. Może on specjalnie czeka na okazję, gdy nie mogę zobaczyć, jak opuszcza dwór. Może to jego fobia, kto go tam wie. Jednak nie potrafię w żaden sposób wyjaśnić tego zjawiania się, jakby był duchem. Prawie zaczynam wierzyć, że on przechodzi przez ściany. I żebyś wiedziała... Po raz pierwszy mam dowód, bo przedtem zawsze to się działo, kiedy byłam w środku. Słuchaj, co było potem. Otóż wyszłam na werandę postawić śmieci do wyrzucenia, wracam, a on wchodzi do gabinetu. Tak się przestraszyłam, że aż serce mi stanęło. Kolejny raz! Dlatego nie wiem, co mam robić. Chyba rzucę tę pracę.

– Może po prostu się minęliście?

– Nie żartuj, zajęło mi to mniej niż minutę – zaprzeczyła ponuro. – Poza tym musiałabym usłyszeć skrzypienie zawiasów, trzeba je naoliwić, ciągle mi to z głowy wylatuje. On dawno nie wyjeżdżał. Ostatnio chyba wczesną wiosną i już sądziłam, że dał sobie spokój. Bo to wszystko powiązane jest z tymi podróżami.

– Ile razy to się zdarzyło?

– Pięciokrotnie, przy czym tylko raz napatoczył się na mnie tak bezpośrednio. Bo dzisiaj, jak go zobaczyłam, zaraz cofnęłam się na dwór i dopiero po chwili weszłam, robiąc trochę hałasu. Przywitał się jak gdyby nigdy nic. – Agnieszka rozważała coś chwilę, a potem kontynuowała zatroskana: – Opiekuję się jaśnie panem od trzech lat i nie będę ukrywać – przywiązałam się do niego. Tylko że właściwie nic o nim nie wiem. Jakby coś mu się stało, to nawet nie mam pojęcia kogo zawiadomić. Czy ma rodzinę? Co prawda to krzepki staruszek. Nie choruje, nawet kataru nigdy nie miał. I jest taki obojętny, nic go nie denerwuje, nic nie cieszy.

– Agnieszko, nie przesadzasz? Nigdy się nie skarżyłaś na pracę u pana Gabriela. Nie miałaś do tego powodu, bo chociaż jest dość oschły, jednak nie okazał się takim ponurakiem, na jakiego wyglądał. Nieraz opowiadałaś o nim anegdotki. – Aleksander z niezadowoleniem przyjął zmianę toku rozmowy, chociaż domyślił się, że mama chce uspokoić przyjaciółkę.

– No, owszem, czasami jest zabawnie, a te historyjki to były raczej o mnie – odparła kwaśno Janicka. – Zazwyczaj podkpiwa sobie z moich pomysłów, ale nie o to chodzi. Nigdy nie zrzędzi, co przecież u starych, samotnych ludzi bywa normą. Jest na swój sposób miły i raczej uprzejmy, ale taki wyprany z emocji. I to mówienie szeptem... To też niezrozumiałe. Jestem pewna, że nie ma żadnej ułomności w tym względzie. Czasami przez kilka dni milczy. Odpowie na przywitanie i nic więcej. Bardzo osobliwa postać.

– I całkowicie nieszkodliwa, sama przyznaj. Chyba niełatwo nawiązuje kontakty. Może ma ku temu powody, sama mówisz, że od swojej przeszłości nic nie opowiada. Nie wiadomo czy kiedyś nie był inny.

Wiesz, jak to w życiu bywa. I przyznaj moja droga – człowiek nie zrzędzi, jest uprzejmy, daje dobre wynagrodzenia, a ty co? Narzekasz. Wygląda na to, że gdyby postępował odwrotnie, byłabyś zadowolona. – Agnieszka roześmiała się, słysząc sarkastyczną odpowiedź.

– No tak, masz rację. – Zmarszczyła brwi, gdyż nie pozbyła się wszystkich wątpliwości. – Ale co z tymi wyjazdami?

– Za parę dni lipiec, może robi rekonesans po uzdrowiskach? Pewnie można znaleźć racjonalne uzasadnienie na inne, hm... zjawiska z jego udziałem. Chyba nie wierzysz w opowieści dzieciaków o strasznym dworze? Najlepiej porozmawiaj z panem Gabrielem przy najbliższej sposobności, po co masz się stresować? A przy okazji, gdzie jedziesz na urlop?

Zmianę tematu Aleksander uznał za potencjalnie niebezpieczną. Początek wakacji wiązał się niewątpliwie z końcem roku szkolnego i dociekaniem, jakie świadectwo przyniesie ze szkoły. Wolał strategicznie wycofać się do pokoju.

